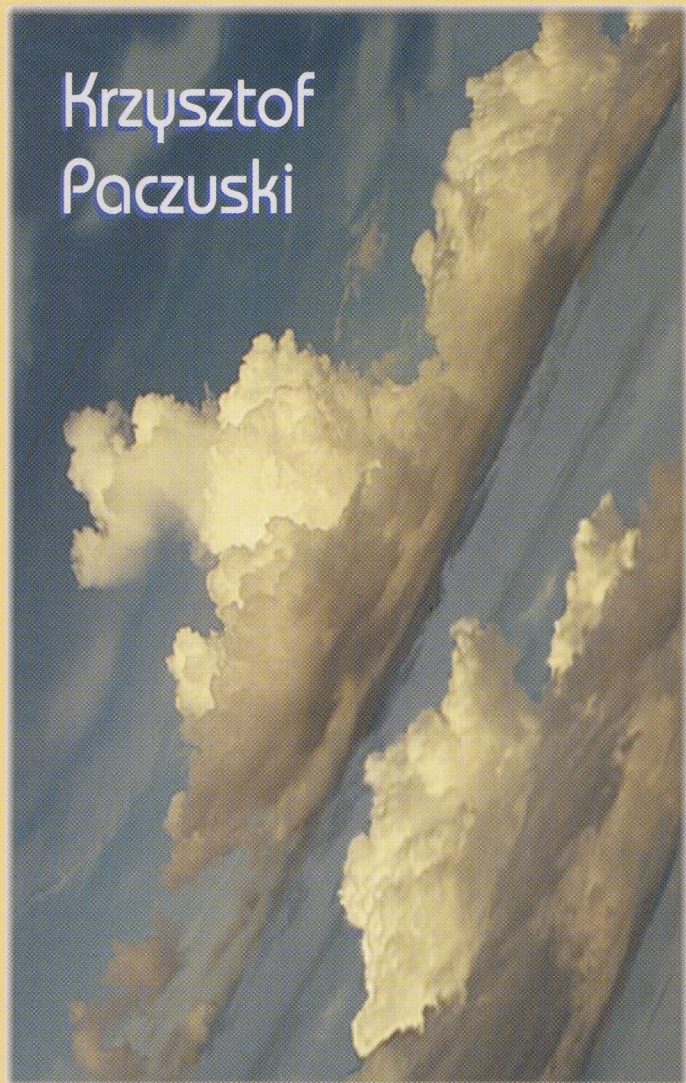


# OBŁOKOM. PODZWONNE

Krzysztof  
Paczuski



BEZ ERRATY • LUBLIN 2002

Krzysztof Paczuski

OBŁOKOM.  
PODZWONNE

Postowie  
Wacław Oszajca



BEZ ERRATY • LUBLIN 2002

Postowie: Waław OSZAJCA

Grafiki i projekt okładki: Konrad KOZŁOWSKI, Ottawa

Redakcja: Joanna DYSZCZYK

Konsultacja redakcyjna: „Akcent”

Redakcja techniczna: Andrzej WOYTOWICZ

Korekta: Halina KOSIENKOWSKA

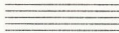
Skład komputerowy: „BEZ ERRATY”

Redakcja, korekta, skład, postowie i grafiki  
wykonane nieodpłatnie przez przyjaciół Autora.

Druk umożliwiło wsparcie  
udzielone przez Marcina CHĘTNIKA  
oraz Wschodnią Fundację Kultury „Akcent”.

Copyright © by Krzysztof PACZUSKI, Warszawa 2002

ISBN: 83-902806-7-1

N<sup>o</sup> 

Wydawnictwo „Bez Erraty”, Lublin 2002  
Wydanie I. Ark. druk. 5. Nakład 500 egz.  
(w tym 100 egz. numerowanych)  
Papier offsetowy 80 g  
Skład i łamanie: „Bez Erraty”  
Druk: Drukarnia SAMPOL, Lublin

Córce  
- Zielonookiej Paulinie  
Pięknemu  
i najrozumniejszemu lirykowi  
mojego życia

## Mykenom. Podzwonne

Nasz świat jest bez znaczenia. Ty wiesz to najlepiej.  
Znikniemy wkrótce, niby w trójkącie bermudzkiem —  
tak zniknęły Mykeny. Ich czas się zasklepił  
w grobie Agamemnona. Ten świat nie jest ludzki.

Nasz świat jest bez znaczenia, pomimo tajemnic.  
Współuczestniczysz w zbrodni, próbując odgadnąć,  
czy prześwielone klisze w niezbyt szczelnej ciemni  
to nauka, którą uznałeś za marność.

Nasz świat jest bez znaczenia, bezludny, nieludzki.  
Śmieszne są też pomysły na lepsze gdzieś życie.  
Czy ból jest zbrodnią, karą, przyczyną czy skutkiem,  
może religią, złudą, lustrzanym odbiciem?

Wierzymy, że czas zbawia, lecz on nas zaślepił.  
Nasz świat jest bez znaczenia. Ty wiesz to najlepiej.

# Małgorzata

(fragmenty)

## *Prolog*

Szczyty Senir i Hermon porosły szafranem.  
Przełęczą wzdłuż strumienia stąpa stado owiec.  
Każda z nich dwa jagniątka piastuje przy sobie.  
Słońce drogę rozbiela znad stoków Ammana.

Winnice słodkim śpiewem wiatru usypiane,  
w winorośli wsłuchane przedwieczorną spowiedź,  
przebudzą się sierpniowym opasane nowiem  
i drżące będą czuwać, śnić nadejście Pana.

Sulamito, podążaj białych owiec śladem,  
dokąd lot gołębiczy rozkaże ci zmierzać.  
Tam kwitną wiecznie wonne ogrody i sady.

Od dziś do ciebie będzie wyłącznie należał  
sen niewyśniony, marzeń najjaśniejszy diadem,  
wejdz śmiało, Lilio Dolin, w domostwo Pasterza.

\* \* \*

Popatrz, niebo się chmurzy. Pierwsza kropla deszczu  
w kącikach ust zastyga w śnieżny kryształ soli.  
Promień słońca w obrączce zamigotał jeszcze,  
białym ogniem ją rozgrzał i stopił powoli.

Zaraz stryczki piorunów zawisną i jasność  
toporem w pół rozpląta najsilniejsze drzewo  
i zaśnie ten, kto czuwał, zbudzi się, kto zasnął,  
a ziemia będzie drżała od płaczu i gniewu.

Ustąpią pod taranem grzmotów wrota świata.  
W progu Księżę Ciemności w długim, czarnym płaszczu  
pozdrowi cię słowami: witaj Małgorzato,  
bądź dziś w nocy królową, uczyni nam ten zaszczyt.

Popatrz, niebo się chmurzy. Lecz nie bój się śmierci.  
Ona nie boli bardziej, niż słońcem przekłute  
oczy. Mniej śmierdzi także od palonej ścierki  
i dźwięk wydaje cichszy niż depnięcie butem.

Spal swą ślubną suknię. Wyrzuć wór pieniędzy,  
a kołyskę dziecięcą przynieś na brzeg rzeki.  
Zaczerpnij wody w dłonie, umaczaj w niej język  
i włosy swoje dobrze natrzyj żabim skrzekiem.

Kołyskę spuść na fale. Gdy zniknie w szuwarach,  
usłyszysz niemowlęcia płacz albo krzyk kaczki.  
Jak ryba brzuchem błysnie rzeki zimny szmaragd  
i skończy się twój poród, zanim ból się zacznie.

Wnet stągwie się napełnią po brzeg mocnym winem  
o barwie rubinowej, głębokiej jak pamięć  
i rozkażesz, by kielich tego płynu przynieść  
młodzieńcowi o głosie smutnym jak aksamit.

A kiedy pusty puchar rzucony za siebie  
ze śmiechem się rozsypie drobnymi łzami,  
wtedy włosów twych dotknie gwiazdnych ławic grzebień  
i chłopak w noc wybiegnie, a ty pójdziesz za nim.

Tam, gdzie kończy się pamięć, jest początek drogi  
i narodziny bólu rwącego jak potok.  
Tam po raz pierwszy we śnie rozmawiałaś z Bogiem  
i ścierałaś łzy słońce dziecięcym kłopotom.

Ktoś potem obcą dłonią dotknął twoich piersi  
i rozpałił ci włosy niebieskim płomieniem.  
Odtąd marzyłaś często o pieszczotach śmierci,  
widząc cię białej róży wbity szpadlem w ziemię.

I wreszcie nadszedł spokój, znalazł cię spleknaną  
i brakiem słońca nocy czerni i przerażenie  
tłumaczył. Uwierzyłaś, oddałaś mu ciało,  
odtąd w poduszkę gorzkie chroniłaś marzenia.

Lecz bądź pewna, że jeszcze świeci twoja Gwiazda,  
że odnajdziesz ją kiedyś, jak zgubioną perłę,  
bo musi milczeć kurhan, jeśli dźwięczy nazwa,  
i biel gdzieś musi krwawić, gdy czerni się czerwien.

\*

Popatrz, niebo się chmurzy. Właśnie w takiej chwili,  
gdy gaśnie słońce, ziemia spod nóg się usuwa,  
czyjeś gorące usta poczujesz na szyi.  
Po pierwszej części nocy nastąpi część druga.

Popatrz, niebo się chmurzy. Wiatr, cichy wielbiciel,  
kolczykiem szeptu będzie nakłuwiał twe uszy.  
Nie odpychaj go, szept ten przemieni się w wycie,  
a wycie w płacz, a płacz ten do płaczu cię zmusi.

O świcie, kiedy rosa ostudzi powieki,  
a słońce siwe cienie wymiecie pod ścianę,  
pająk snu nad twą twarzą roztoczy opiekę  
i w sieć schwyta szept cichy: kochana, kochana...

\* \* \*

Cóż jeszcze muszę zrobić, by ciebie odnaleźć:  
pachnących ziół ususzyć, złotą rybkę złowić...  
A może łyzy otrzeć i nie czekać wcale,  
tylko nocą zaprzedać duszę szatanowi.

Słyszę krzyk niemowlęcia, plusk fali, zgrzyt klucza,  
złośliwy syk trucizny musującej w szklance.  
Nie, to ćma w szklanej kuli o ściany się tłucze,  
to tylko drzewo w szybę stuka czarnym palcem.



Zwróćcie mi mego Mistrza, a możecie zabrać  
różaniec z łez, z krwi dywan, kościół z moich kości.  
Wyłupcie oczy, ciało poćwiartujcie szablą,  
między gwiazdami z ramion mych zbudujcie mosty.

Serce czarnym rumakiem w zaprzęgu szatana  
niech pędzi, jeśli złotym nie może być berłem.  
Umierających do snu moich włosów hamak  
niech kołysz, gdy jemu nie mogą być wierne.

\*

Z tajemnych zaklęć nową układam modlitwę.  
Strojną przywdziewam suknię, rozczesuję włosy,  
lecz lustro spuszcza oczy i milczy, jak zwykle,  
a zegar się spowiada zawstydzonym głosem.

Choćbym znała języki ludzi i aniołów  
i gdybym samym wzrokiem przesuwiała skały,  
w ustach twego imienia gorejący piołun  
podpali słów najczulszych rozgwieżdżony całun.

Pamiętam jeden wieczór. Milczałeś, a dłonią  
na mej twarzy magiczne rysowałeś znaki.  
W ognisku zorzy krwawo cały pokój płonął,  
wiatr ciszę w próchno zmierzchu porozsiewał makiem.

I nagle w twojej twarzy zobaczyłam zbrodnię,  
kłamstwo, podłość, występki, bezwzględność i zdradę.  
Wszystkie grzechy jak z krzyża wyciągnięte gwoździe  
całuję jak relikwie i na sercu kładę.

Tyś światłem moich oczu, płuc natchnieniem — diabłem,  
dla ciebie każn porodów chcę cierpieć bez trwogi.  
Opętałeś mnie czernią. Zrozumiałam nagle,  
że biała laska ślepcy może stać się Bogiem.

Wicher szumi trucizną pieniącą się w szklance —  
to są nasenne zioła, wypij, wypij do dna.  
Ciszę na pół rozkrwawia jęku cienki lancet.  
Jeszcze krząta się w kuchni — zmęczona, pogodna,

jeszcze brzęka zastawą — nie, to szczęk łańcuchów.  
Po niebie przemknął uśmiech pierwszej błyskawicy...  
Pamiętam jej sylwetkę zgarbioną i kruchą.  
Spójrz, ten cień drobne kształty po niej odziedziczył.

Jest późno. Już myślałam, że nigdy nie wrócisz.  
Wnet się zjawi Atropos, słyszę cięcie nożyc.  
Wicher ustał, deszcz zasnął i płacz dziecka ucichł.  
Chcę, byś mi dłoń na czole spoconym położył.

Ostatni raz. Tak długo na ciebie czekałam,  
twój głos słyszałam w skrawkach nadpalonych listów.  
Teraz, gdy płonie przy mnie twego szeptu szafas —  
jest późno, bardzo późno, za późno, mój Mistrzu.

\*

Początek dobiegł końca. Ogień zgaś na zawsze.  
Zmartwychwstał wreszcie chaos, porządkując rzeczy,  
i czas, co szedł bez sensu, bezpowrotnie nadszedł.  
Temu, co twierdził, idąc, nadchodząc — zaprzeczył.

Spójrz, znów jesteśmy wolni. Las podszedł do okien,  
słońce żółte mimozy rzeźbi w brodnym śniegu  
i hardość szyb się skrapia przezroczystym sokiem —  
nie ma kart, nie ma figur, nie ma żadnych reguł.

Jest tylko gra, jest obłąd. Nie ma pokonanych  
i zwycięzców szlag trafił, i przekupnych sędziów.  
Szczeszło pole szachowe, zielony aksamit  
nasiąka rdzą zegarów, zatrzymanych w pędzie.

Porzucimy świat skażony — to serce wariata,  
przekłute słonym dziobem płochliwej rybitwy,  
świat uwikłany w ciągłą obronę i atak,  
w system zbrodni i kary, przekleństw i modlitwy.

\* \* \*

Jak można słowo: „kocham” w „nie kocham” przemienić?  
Łatwiej kamienie w perły a kąkol w pszenicę,  
wulkany łąką ostudzić, bieg wstrzymać strumieni,  
rozkopać kurhan, w ciało tchnąć na powrót życie.

Mój Pan powiedział: miłość, i On rzecze: miłość,  
i twoje usta miłość będą wyznawały.  
Lecz was trzech czy o jednej miłości mówiło?  
A jeśli nie, to która gwiazdą ociemniałych?

\*

To nie sen, Małgorzato, ten świat musi zginąć.  
Rozszarpią go na dwoje Lucyfer i Anioł,  
bo łatwiej żyć bezgrzesznie albo umrzeć z winą,  
niż zgorzeć całopalną ofiarą kochania.

Rozdarto ludzkie serce i prawą komorę  
wypełniono cyklonem zakazów i mitów,  
do lewej ostatecznych prawd wsypano worek,  
wieczną zmarzlinę wiedzy, mądrość stalaktytu.

Źródłem miłości zawsze włócznie otworzony  
bok, z którego do dzisiaj krew i woda płynie  
i nieprzebrzmiałe modły więźniów Babilonu,  
to dzięki nim kusiciel przegrał na pustyni.

Czarnoksiężskie zaklęcia i słowa litanii,  
i zdania z Gilgamesza przyjęte na wiarę  
milkną jak słupy soli, gdy zza słuchu granic  
wiatr przeciąga złowróźnie: Mane, Tekel, Fares.

O gdyby mnie całował mój miły tej wiosny,  
gdyby osobno każdą pierś innym imieniem  
niby swe psy przyzywał — gdyby ciała kosmos  
wypełnić mogła gaju oliwnego zieleń...

Blednie róża Saronu, umiera winnica.  
On stoi w mgły wieczornej kadzidlany dymie.  
Odwraca się, nie dostrzegł szarej gołębiczy,  
idzie, skacząc po górach, roztapia się, płynie.

\* \* \*

O Panie, płacz nad światem! Wysuszony badyl  
bez twoich łez się kruszy, usidlony w perzach.  
Myśl, jak woda wylana — wiary pragnie wiader.

Przed potokiem Beliala nadzieję żołnierza  
chroń ty, co wstrząsasz piaskiem na pustyni Kadesz,  
ty, który zginasz cedry — otwórz drzwi na ścieżaj.

*Lublin, lipiec 1984*

## Do Horacego, prośba o epitafium dla przyjaciela

*Pamięci wybitnego artysty malarza Ryszarda Lisa*

Tak mi ciebie potrzeba — twój, Horacy,  
geniuszu, a najwięcej statecznej mądrości.  
Ujmij rylec, mój mistrzu, trzeba go zaostrzyć,  
ból słowa napęlić najsmutniejsze z naczyń.

Chcę, abyś nadał imię wyniosłe tej stracie:  
najgłębiej i najczulej, jak stać cię: najprościej.  
Rozpaczy i rozwagi płaczącym nie oszczędź.  
Niech ta śmierć znaczy tyle, ile musi znaczyć.

Mów mi o jego dziełach — w ich czerniach łzę zatop,  
opowiedz o dobroci, hardości umysłu,  
o uczciwości jego rozprawiaj, jak Katon,  
z odwagą swój poemat w wielkie słowa przystrój.

A gdy moją samotność pojdziesz najwyraźniej:  
wspomnij też o niezwyklej, dozgonnej przyjaźni.

## Sunamitka Abiszag

*Dla Ireny*

Ogrzewała do śmierci jego stare ciało.  
Znała tylko pachnidła i wonne olejki.  
Wyobrażenie Boga zabalsamowała  
i trzymała na piersi w puzderku maleńkim.

Chciała tańczyć dla niego, śpiewać albo płakać.  
Palce zanurzać w perłach, muszlach i ukwiałach  
siwych włosów na piersi. Przemienić się w ptaka,  
skonać w tej samej chwili. Może go kochała?

8.02.1994

## Burza

W rdest runął grab, piorunem rdzawym rozpłatany,  
zdarł korę do krwi, roztargał płatany.  
Grzywacz wiatr, rżąc upiornie, wzdyma żagle topól.  
Żywiołów robespiery srebrny ostrzą topór.  
Iskra rozdrwiła chmury, rtęć zżera źrenice,  
znowu mrok za górami przewraca miednicę.  
Dudni podniebna studnia grobowym pogłosem.  
Potwór wzgórz pomrukuje, rwie zmierzwione włosy.  
Senny deszcz sunie ślepo w las, ściana za ścianą,  
szepem nasącza liście. Brzmi rytmiczny kanon.  
Przepada w gąszczu, wraca wyciem wilkołaka,  
szamoce się w gałęziach, skrada się po krzakach,  
trzaska pod stopą skrzata, skrzypcami zapłacze,  
z sitowia strzela nagle krzykiem dzikich kaczek.  
Szarpie deszczowe struny, poklepuje fale,  
klaszcze, skacze, szybuje — wciąż zgłodniała szaleństw.  
Zachłystuje się wreszcie, krztusi się i dławii,  
rzęzi, kaszle, jargoce, zalewa się łzami.  
Łapie oddech i chrypi, w trawę się osuwa,  
wymiotuje i wraki okrętów wypluwa,  
zgruchotane szkielety, ptaki i kamienie,  
pnie odarte ze skóry, bezpańskie marzenia,  
lęk, tęsknotę i miłość nieodwzajemnioną.  
Ktoś za szybą, przy oknie z bezpieczną zasłoną  
przygląda się konaniu drapieżnego ptaka  
i cierpi, lecz nie płacze, bo nie umie płakać.

## Zaduszne złożeczenia

Biada tej ziemi. W głębi lochu  
bluźniercze skargi poniżonych,  
a wiatr rozsypie nasze prochy  
na lewą i na prawą stronę.

Cierpienie gada z samotnymi,  
wyrok im czyta przed zaśnięciem.  
Pożoga świata gorzkim dymem  
dławi zdumienie niemowlęcia.

Panie, tyś nędzę tę przeboleł,  
Nasz grzech przyjmujesz jak jałmużnę.  
Odepchnij nas od swoich kolan  
nie pozwól światu godnie umrzeć.

Chciej trąd wybaczyć trędowatym,  
a ślepcom oczu białe laski.  
Ciała w Dolinie Jozafata  
nie będą czekać aż do brzasku.

Nim świt się ufnych krwią nasączy  
a noc rozbłyśnie srebrnikami,  
każ sprawiedliwy sąd zakończyć  
temu, kto pierwszy rzuci kamień.



## Tajemnica uśmiechu

Ty ruda czarownico. Kaźń nie słyszy przekleństw.  
Pogarda śmierć obdarzy właściwym imieniem.  
Resztę strawi przyroda. Płomień stosu nie śmie  
tknąć twarzy — oprócz grobów serca i sumienia.

Gioconda jest jedynym świadkiem oskarżenia.  
Fałszerstwo się nie uda. Mistrz żyje, więc strzeż się!  
Beze mnie Louvre istnieje, lecz bez truchła ziemia  
rozsypie się, jak gwiazda miliardami nieszczęść.

Ty ruda czarownico, ruda czarownico.  
Nie boję się już zaklęć ani krzywych spojrzeń.  
To nie magia — to tylko rozmowa o niczym.  
Ciebie nie ma — to tylko łza w orbicie krąży.

Krew oceanu wiem na twarzy, by grzechów  
ani łzy nikt nie dostrzegł w kącikach uśmiechu.

# Metamorfozy. Sen Bożeny

## 1

Tłum ludzi. Zgiełk i wrzawa. Machasz do mnie, krzyczysz,  
Ja biegnę, chociaż nadal na środku ulicy  
tkwię, jak skała zmywana falami przyptywów.  
Nie stracić siebie z oczu — to jedyny wymóg  
walki z siłami świata, z obcością kosmosu,  
z bezdusnością, bezwładem cudzych ciał i głosów.  
Zbliżamy się. Uśmiechy milkną z bólem twarzy.  
Westchnienie ulgi. Bezczas. Znów jesteśmy razem.

## 2

Biały ogród. Tu kwitną owoce południa.  
Szkłana ściana i słońce. Wyglądacie cudnie,  
speleni i spokojni, jak Tristan z Izoldą  
na materacu z liści, wsłuchani w ciał odlot.  
Słyszę spazm twoich powiek. W półotwartych ustach  
milknie jej szept natchniony. W mrocznej tafli lustra  
rozpoznaję, że kochasz właśnie moje ciało.  
To ja i ty. Pod nami trzaska rajska gałąź.

## 3

Pierś strząsa w otchłań serca wąty dreszcz rozkoszy.  
Nie chcę otwierać oczu. Jeszcze nie mam dosyć.  
Ty się tulisz i słabniesz. Chwytam włos wargami:  
jest gorący i mokry. Wicher ciała zamilkł.  
Zasypiasz. Tak mi trudno wyszeptać choć słowo.  
Ktoś nas podgląda. Czuję obcy wzrok nad głową.  
Otwieram oczy. Ona smutno patrzy na nas.  
To przecież ja! Wciąż czujna, niezgojona rana.

## Zatrzymać raj

Nie umiem tęsknić. Tęsknię do twojej tęsknoty.  
Widzę oczy i słyszę ich magiczny język.  
Tęsknotą samotnego jest mieć za kim tęsknić,  
choć ból samotności — to jedyny dotyk.

Któż umie tęsknić, miła, może ptak lub motyl,  
gdy go zasupła słodko kwiat w motyle więzy.  
Przed niebieskim odlotem ostatni raz tęskni,  
aby już nigdy więcej nie pamiętać o tym.

Tęsknić próżno za dżumą w trędowatym tłumie —  
to odkupienie winy dla wygnanych z raj.

Chromy śni o kalectwie, lecz marzy o trumnie.  
Augiasz pragnie czystości, lecz nie sprząta stajen.

Nie umiem tęsknić, wichrów nie umiem zaklinać.  
Błagam raj utracony, by go móc zatrzymać.

## Dumanie powrotne (elegia)

*Jasiowi*

Tu nic się nie zmieniło i nic się nie zmieni.  
Wciąż samotność podgrodzia, zamek, zamęt, zanik.  
Schylam głowę. Pokraka z tego mego cienia.  
Żyję, niby zbudzony przez własne chrapanie.

Był czas, żeby coś zmienić? Zacząć żyć od nowa?  
Jeszcze raz to przemyśleć, co już przemyślane?  
Ten sam smutek, niepokój, ten sam w głowie robak.  
Być może tylko w oczach trochę cięższy kamień.

Rozwieszane pomiędzy gwiazdami wnętrzości  
twoich lub moich cierpień, wstydu, poniżenia —  
to ołtarze wzajemnej bezsiły, to kościół  
rad bezradnych; ja tobie, a ty mnie na przemian.

Przybyłeś zagubiony. Odnalazłeś Miasto,  
tak jak się odnajduje (jeśli to możliwe)  
w czarnym jeziorze słońce, które kiedyś zgaśło,  
Orfeusz Eurydykę, a Jonasz Niniwę.

Witaj. Rozpacz i radość mają twarz anioła,  
a uścisk dłoni chyba smak nieba lub piekła.  
Zanim ten, kto przywołał, zechce nas odwołać,  
witamy się, by kiedyś znów móc się pożegnać.

15.04.1992

## Dumanie definitywne

To nieprawda, że chcemy usłyszeć odpowiedź.  
To nieprawda, że ważne są tylko pytania.  
Chaos pragnień zna ciała najszczęśliwsze pustkowie.  
Miłość — odległe dźwięki, brzmiące w obcych zdaniach,  
w niezrozumiałych klątwach i w przejęzyczeniach.  
Wszak życie kpi z liturgii błędnych poczuć winy.  
Czerń bólu — oto kłamstwo tysiąca odcieni.  
Oślizgłe plamy spazmów i krwi — powierzmy  
ostatnim strzępem złudzeń niecierpliwej ziemi.

To fałsz, że kimś jesteśmy i dokądś zmierzamy.  
To fałsz, że ktoś nas pragnie i ktoś nam zaufał.  
Nic nie wynika z tego, że wszechświat nie zamilkł.  
Przyroda wrzeszczy z bólu, bo jest całkiem głucha  
i ślepa, jak pomyłka bezrozumnych kwasów.  
Kosmos zna tylko jedno miejsce na cierpienie.  
Tu, gdzie rozpacz i żądza (od czasu do czasu)  
i skąd strach w świat przepędza batem i kamieniem.

W skowycie wichru boski rozpoznajesz zamysł.  
Nie do pojęcia. Mroźny, ostateczny powiew.  
To fałsz, że kimś jesteśmy i dokądś zmierzamy.  
To nieprawda, że chcemy usłyszeć odpowiedź.

1

- Oto jest moja głowa. Oto głowa zdrajcy.  
Dwie półkule — pośrodku topór oceanu.  
Świata nie ma. To tylko skórka pomarańczy  
symetrycznie rozcięta, złorzecząca ścianom,  
które nad głową tworzą nieruchomy globus.
- Chcę, abyś mnie przytulił. Me drzenie w obu  
dłoniach uwięził. Czyżbym była aż tak mała,  
czy też dłonie masz takie ponad glob ogromne,  
że mimo tylu moich niedorzecznych działań,  
czynisz ze mnie pokorną niewolnicę wspomnień.

2

- Oto jest głowa zdrajcy. Oto moja głowa.  
Wiem, że czujesz tej nocy zapach mego grzechu,  
ale nie znajdziesz grobu, gdzie mógłbyś pochować  
smak mojej skóry, tkliwość tłumionych oddechów,  
uległość, żądzę, podłość, skruchę, wstyd, niewinność,  
bunt, wolność — to, co mogłam i to, co powinnam.  
Wreszcie, do diabła, kto nam rozkazał się rozstać!  
Dlaczego nikt mnie nigdy nie zatrzymał siłą?!  
Nie jestem aż tak wolna ani aż tak prosta.  
To, co będzie, jest właśnie. To, co jest, już było.

3

- Oto jest zdrajca. Oto głowa pokonanej.  
To butelka z wołaniem rozbitka o pomoc.  
Pragnę rozpalić w piecu, udomowić ściany.  
Pragnę poruszyć piekło. — Coraz bardziej stromo.  
Za przełęczą rozkoszy — szczyt, zbocze i przepaść.  
Wspinam się, lecę, płynę — jak zwykle samotna.

Codziennie rano budzi mnie czas — marny lekarz,  
diagnozą, że już nic nas gorszego nie spotka.

— Tak, iść, frunąć, żeglować, spaść na dno snu, krzycheć...  
Mój okręt nie ma sterów, chociaż ma kotwicę.



## Dysputa

Czytasz *Zbrodnię i karę*, sama jesteś Ikarem,  
z Zaratustrą się kochasz złowrogim,  
znasz rozterki Conrada, wszak co wieczór spowiadasz  
buntownika nazwiskiem Stawrogin.

Pisz *Makbeta* inkaustem, jednym haustem pij *Fausta*,  
a *Mein Kampf* uzupełnij głosami.  
*Biblię* tłumacz na *Koran*, czcij *Wyprawę Igora*  
nad Tomaszem á Kempis się zamyśl.

Robbe Grillete'a, Gautiera, Gilgamesza, Homera,  
Hume'a, Zweiga, Husserla i Manna  
ssałaś z piersi wraz z mlekiem, jak łacinę i grekę,  
pierwszy krok twój to krok *W stronę Swanna*.

Niepokoje ośmieszasz wychowanka Torlesa,  
ze Spinozą się sprzeczasz do rana.  
No a Tales to dziadek, co wymyślił „zasadę”,  
niech ogoli się brzytwą Okhama.

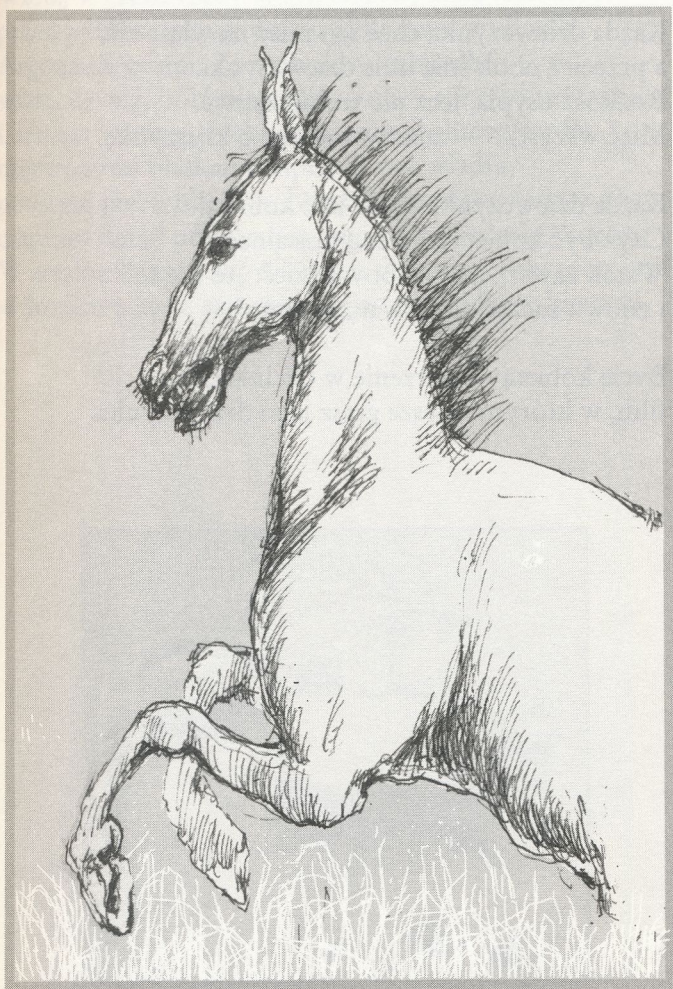
Umiesz też się powołać na doktorów Kościoła,  
Cicerona z pamięci przytoczysz,  
z Lévi-Straussem i Barthem w polemice zażartej  
lub z Eliotem w dyskusji roboczej.

Tezy zbić Abelarda, odbrzązować Teilharda,  
Augustyna pozbawić świętości,  
ochrzcić rują wiek złoty, a Mertona dewotem —  
to jak sonet napisać lub prościej.

Gdy tak o Ingardenie opowiadasz uczenie,  
recytujesz ballady Villona,  
miast coś rzec o Corneille'u, ja mam ciągle nadzieję,  
że się znajdę dziś w twoich ramionach.



Stało się to w tej chwili, gdyśmy właśnie mówili  
o Platonie czy innych cykutach.  
Podniecona Leibnizem, podciągnęłaś spódnicę  
i urwała się nasza dysputa.



## Dziewczynka

Każda dziewczynka boi się miłości,  
choć pragnie zawsze, zawsze po raz pierwszy.  
Jej ciało — nigdy nie zdobyty kościół  
łaknie złączenia — myśli o odejściu.

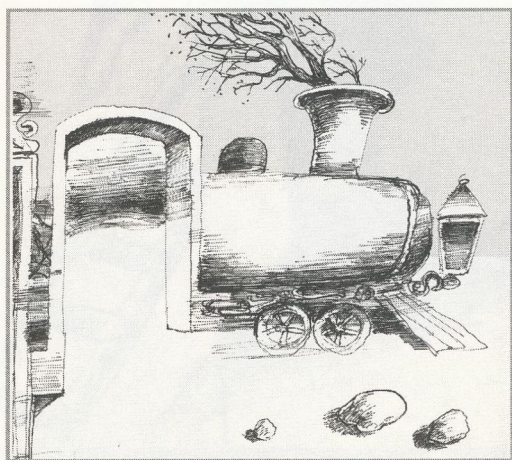
Każda dziewczynka chce sen mieć na własność,  
a przecież obok śnią inne dziewczynki.  
Rozkosz usypia, lecz nie wolno zasnąć.  
Mieć wszystko — znaczy walczyć o kruszynkę.

Każda dziewczynka może być kobietą.  
Czyż być kobietą to nieodwracalne?  
Wszak zawsze można powiedzieć: „to nie to”  
i znowu zacząć od słowa: „ustalmy”.

Bycie kobietą — marzenie w odcinkach —  
film, w którym zawsze grasz jako dziewczynka.

## Argonauci jesieni

Z flaszką wódki w kieszeni pijanego dżdżem płaszcza,  
serce słotne przemieniam w zesłorocznych snów kasztan.  
Buty wiek nieczyszczone wilgotnieją pomału  
błotną łąką, co z łez spływa w niezgłębioną głąb kałuż.  
Wiodą w czerń rzędy latarń srebrną nicią Ariadny,  
przed północą wszak nowiu złote runo wykradli  
Argonauci jesieni. Zaczaili się — czterech:  
wiatr, deszcz, ból i niepokój — nocy sprzyjał im erob.  
Cieniem wieży gotyckiej poderżnęli chmur gardła,  
czerwonymi blaskami napełnili swe wiadra,  
po czym pierzchli. Ja — świadek zbrodni z tysiąca nocy,  
czuвам dotąd przy trupie, mgieł okrywający go kocem.  
W zesłorocznych snów kasztan słotne serce chcąc zmienić,  
w środku miasta, samotny, z flaszką wódki w kieszeni.



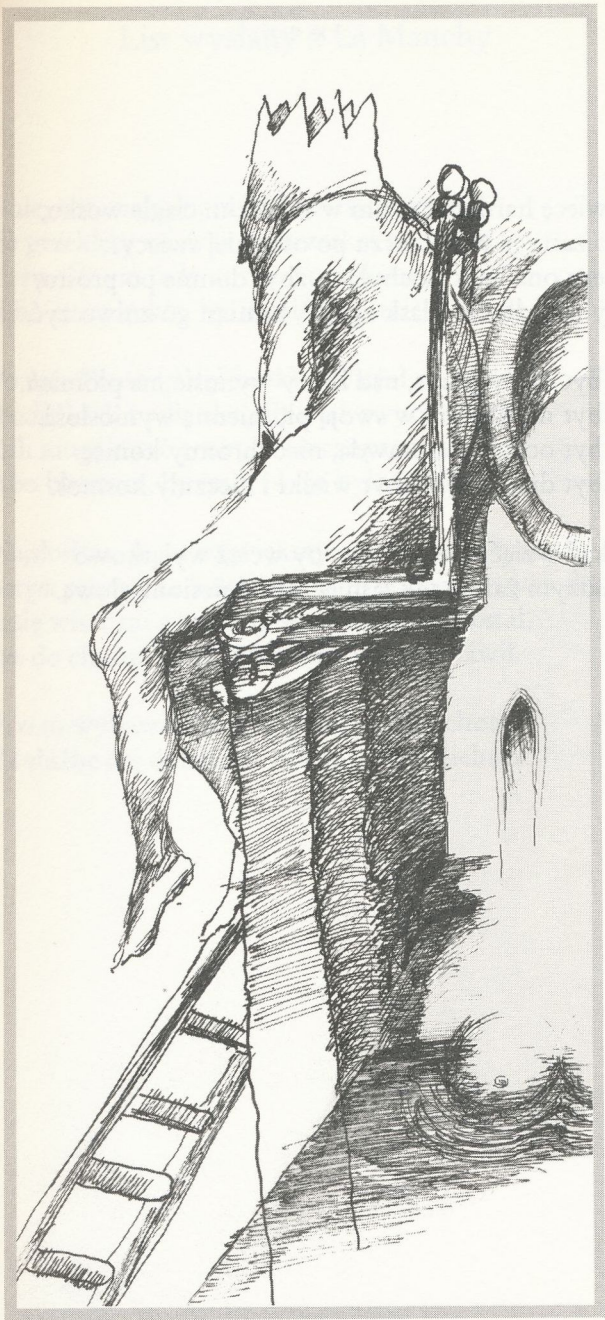
## Dwie szarości. Samotność

Myśl zna dwie ścieżki. Obie zbyt szare. Jak oczy,  
nie prowadzą donikąd. Nawet w głąb spojrzenia.  
Gwiazdy dwóch konstelacji. Dwa rozgoryczenia.  
Szarość przepaści nęci. Tak bym chciała skoczyć.

Tak bym chciała ocaleć. Opętana Ziemia  
ma już dosyć obrotów. Przystanie się toczyć.  
Samotność — to jest ściana daremnych wykroczeń  
wobec serca, umysłu, ciała i sumienia.

Wierne psy tajemnicy. Jak on je nazywał?  
Tę lewą może Dafnis, a może Noemi.  
Nawet świt na nie dotąd nie zwracał uwagi.

Milknie w nich szarość wiosny. Obie pięści zima  
szronem szarego szeptu: To ja, o nim nie myśl.  
Noc cię już nigdy więcej nie zobaczy nagiej.



Świecę hardą zatapiam w miękkim ciągle wosku,  
co zastyga w lichtarzu po ostatniej świecy.  
Lecz ona kark pochyla — zbyt dumna po prostu,  
by przedłużać blask zgasły, zamiast go zniweczyć.

Zbyt czuły grunt, nad który wynosić ma płomień.  
Zbyt mała wiara w swoją płomienną wyniosłość.  
Zbyt oczywista prawda, nieuchronny koniec.  
Zbyt drżący lęk, zbyt wielki i nieczuły kosmos.

Skąd wziąć tyle pokory, by wciąż wyjątkowo  
cudzym żarem tak jaśnieć z podniesioną głową.

## List wysłany z La Manchy

Dulcyneo, najsamprzód konfesją uczynię,  
iżę przeklęty wiatrak roztrzaskał mi kopię.  
Drewnianym tedy zostanę pinokiem,  
alibo inszą kukłą, by sławić twe imię.

Po tym Pansa (półgłówek) odbieżał na ośle  
(bodaj kark bydlę skręcił) z takowym aliansem.  
Zali mogę ostać grubym sanczopanssem?  
Abo błaznem, by imię twoje było głośnie?

Najsłodsza, srom największy na koniec'm ostawił:  
batyst szczodrze haftowan, com go z rąk twych dostał,  
zasię wiatr mi go zimny spod piersi wy dostał,  
ażę do chmur go poniósł, by imię twe sławił.

Przeto wybawiać świąty przeszła mi ochota.  
Za służbę daj dukatów. Nie ma Don Kichota.

## Barataria

Półgłówek. Krępy, gruby — w dodatku na ośle.  
Lękał się gniewu pana i czczości żołądka.  
Klął na czym świat stoi (świat stoi na klątwach).  
Nawet dziecko myślało od niego doroślej.

Na rzece łódź jest ważna. On marzył o wiośle.  
Skąd miał wiedzieć — reguły doświadczał w wyjątkach.  
W twardej czaszce leniwa budziła się mątwa.  
Giermek ciągnął za panem, pan pędził na ośle.

Czy naprawdę wiatraki są złem tej planety,  
gdyż ramiona oddają we władanie wiatru?  
Zwycięży, kto pokona kaca i artretyzm.  
Bululú sam obsłuży persony teatrów.

Miast kruszyć kopie, dożył, że wreszcie wymarli  
niewolnicy ułudy z wyspy Baratarii.



## Matce

Ból rodzenia. Nagrodą było to, że minął.  
Jedynie to, choć dotąd próżno wyczekujesz  
na kęs słońca. Ty możesz obarczyć się winą,  
a ja ten ból pamiętam, ja go do dziś czuję.

Inne łona miewały trochę więcej szczęścia.  
Jokasta otrzymała żądzę i śmierć — całość  
tego, co syn winien matce od chwili poczęcia.  
Lecz i to, choć przepęlnia, wydaje się mało.

Czym drzewo może matce ziemi się odwdzięczyć?  
Tym, że zgnije w jej łonie, jak kiedyś wyrosło.  
Łączy nas proch, bo na nim wciąż musimy klęczeć,  
rwąc paciorki różańca — każde z nas osobno.

Modlitwą śmierć oddalasz. Śmierć jest połączeniem.  
Czas proch między nas kładzie, a na nim dwa cienie.

## Kana Galilejska

Oczami oblubieńca patrzę w sarnie oczy  
oblubienicy. Pełen bojaźni i drżenia  
rozpoznaję, że On jest w obydwu spojrzeniach,  
jako gość niskie progi — jak niegdyś — przekroczył.

Muzyka popiół zwątpień rozproszy wśród nocy.  
Trędowaci spowici w żebracze odzienia  
dziś przed świtem w cesarzy zaczną się przemieniać.  
Cud do sali godowej wdziera się przemocą.

Boję się, że oślepiłem — nie obaczę cudów,  
stoję bezradny, niemy, zdjęty boską trwogą.  
Kto obmyje wędrowca z pielgrzymiego brudu,  
żeby umiał wzrok godnie unieść nad podłogę?  
Od kogo puste stągwie oczekują trudu?  
Tak bym pragnął uwierzyć...

## Przedzieranie się do leśniczówki

Ciemność. Las. Głos puszczyka. Gdzie jest leśniczówka?  
Zapach ziemi dowodzi, że wciąż istniejemy.  
Jeszcze krok. Może wrócić? Sen trwałby zbyt krótko.  
To nie spacer, lecz strachu ryzykowny przemyt.

Są tylko dwa sposoby: albo brnąć na oślep,  
strząsać z włosów co chwila stwory makabryczne,  
padać w objęcia krzewów lubieżne i mokre,  
albo szukać na niebie jaśniejszych wytycznych.

Ktoś popycha. Coś broni dostępu do drogi.  
Lecz jej przecież nie ma. Ona nie istnieje.  
Tam w oddali mrok płynie i czeluści ogień.  
Błahy ruch tchnie jestestwem tego, który nie jest.

Trzask gałęzi pod stopą dźwięczy, jak głos Pana.  
Oczy w strunach pajęczyn. Wnet biedny muzykant  
sięgnie skrzypiec. Już blisko. Rozrywa się granat  
snu. A to leśniczówka. Słyszać głos puszczyka.

## W leśniczówce. Oblężenie

Strach polarne niedźwiedzie nawiewa pod progi  
leśniczówki, spełnionej czekaniem na odsiecz.  
Drżące dłonie niechętny podniecają ogień.  
Skąd brać ufność, gdy serce zabiega o pośpiech.

W oknach majestatyczne, lodowe paprocie  
bronią dostępu światła, rozszczepiają jaźnie.  
Krótkotrwałość zastygłej na wieki wilgoci,  
podtrzymuje niewiarę w nieuchronność kaźni.

Niechby spadł śnieg lub niechby nów drogę wyjaśnił.  
Niechby krtań wyciem wilka napełniła przestrzeń.  
Powoli krew tężeje, palenisko gaśnie —  
tylko uszy w dźwięk dzwonków zdolne wierzyć jeszcze.

Suną sanie po śniegu równo płoza w płoze,  
jak śmierć i śmierć — zbliżają się do leśniczówki.  
Dojechali. Zsiadają. Wymknęli się grozie?  
Jakże łatwo przyczynę pomylić ze skutkiem.

## Na wschód od leśniczówki

Na wschód od leśniczówki osada smolarzy —  
kilka domostw bezdomnych, ubabranych dziegciem,  
Ponad to gniazdo dymu wynosi się karzeł;  
duszący siarczan grzechu, potępienia przedśpiew.

Oto wulkan. Stąd ścieżka w głąb albo do nieba.  
Leżą drzewa w pół drogi zawrócone piłą,  
toporem lub starością. Ogień chce je grzebać.  
Mielerze patronują drewnianym mogiłom.

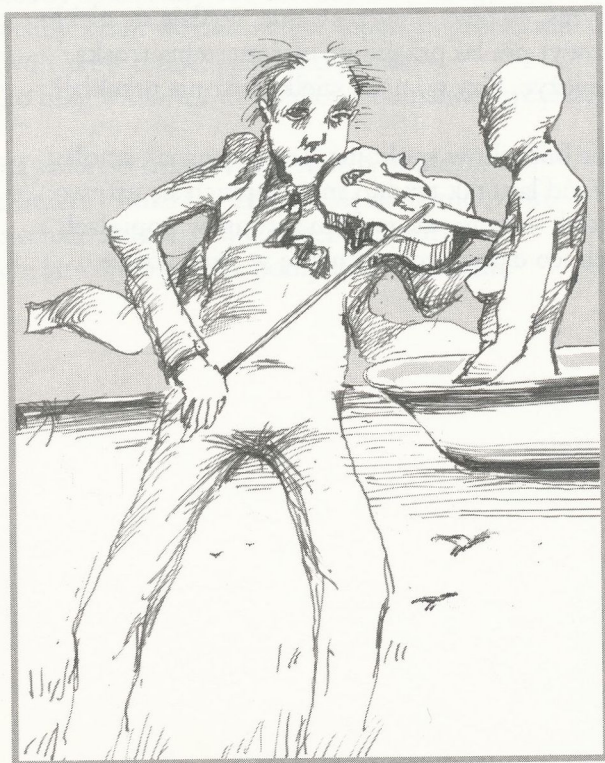
Niebo nie jest wiecznością. To chmur kalejdoskop.  
Czymś, co trwa nieprzerwanie, wydaje się piekło.  
Skowyt psa las przejmuje nieśmiertelną troską  
o księżyc. Czy go nocą wielki wóz nie przeklął?

Noc budników spokojna, przepastna jak smoła.  
Pośród lasu tak trudno snów lepkich się ustrzec.  
Brzask wstanie, ale światło zatone w popiołach  
tych, co dążą i tych, co już są w leśniczówce.

## Z Villona

Panie, wnet skończę, posłuchaj cierpliwie:  
Swój los rozumiem, lecz go nie pojmuję.  
Wśród reguł jestem wyjątkiem, możliwe...  
Ale co zrobić z miłością i bólem  
Ma święty grzesznik i bogaty nędzarz...  
Goszcząc go suto, śmiesz jak psa przepędzać.

*Maj 2000*



## Naręcze piasku

Dwie fajki, fotel (trwa już odliczanie)  
Pożółkłe zdjęcie — pierwszej i jedynej  
Brzmią werble marszu — makabryczny taniec  
Pieszczota piersi bezdomnej dziewczyny.

To anioł śmierci odmierza wieczory  
Zwierzęta czujnie śpią w jeziorze cierni  
Błazen Metody, Król szaleństwa — Yorick  
Naręcze piasku, łyk cierpkich warg Brandy.

## Trzeci korytarz

*Rafałowi*

Trzeci korytarz, w trzecich wrotach  
Apokalipsy siedmiu jeźdźców.  
Słodkie mruczenie Behemota  
Grozi Noemu ścianą deszczu.

Dwunasty tysiąc udręczonych  
Pieczęcią Hessa i Beliasza  
Odwraca twarze w Lota stronę,  
By żółcią siarki grzech zjudaszać.

Trzecia część nocy, piąta pieczęć,  
Dwunasty tysiąc prochów woła,  
Magią kwadratu truchło wzniecić  
Trzeba, by zagrzmiał kadisz: shoah!

*Wielki Post 2000  
trzydziesty trzeci dzień*



## Mane Tekel Fares

Mam dość szczebiotów nocnych i porannych śniadań,  
pieniędzy na kolacje, które snom wykradam,  
wina, whisky i drinków pełnych mocnej brandy,  
urwanych filmów porno, wyznań wziętych w zęby.  
Już dość lizania liry od warg aż po sutki.  
Braknie sylab w sonetach i noce zbyt krótkie.  
Umarł głupawy uśmiech i wariacki taniec,  
nie ma szampana, wódki i marihuany.  
Mam dosyć pieścizot, szeptów i przyjaznych sójek,  
już dość żyć jak jedwabnik, co nić wnętrzem snuje.  
Salome tańczy. Herod ślini się jej pozą.  
Za drzwiami Baltazara Nabuchodonozor  
czeka na mocne wejście. Krwią na ścianach szydzi:  
Rozgrabiono, przepito wasz Eden, Dawidzie!

## Jahve, Jahve

Ucichł dawno las Efraim, a ja czuję w gardle  
wiatr, co upłócił z twoich głosów wisielczą kokardę.

Joabie, Joabie przekłuj włócznią bok i dłonie...

Krwią nieszczęsnych moich synów morze się czerwieni,  
wierny sługa dostał rozkaz cały ród wyplenić.

Joabie, Joabie przekłuj włócznią bok i dłonie...

Niech mój lud do stóp upadnie niezmiernym piaskom.  
Może na pustyni Kadesz skończy się tułactwo.

Joabie, Joabie przekłuj włócznią bok i dłonie,  
Czemuż ty, a nie ja, Absalomie, Absalomie...

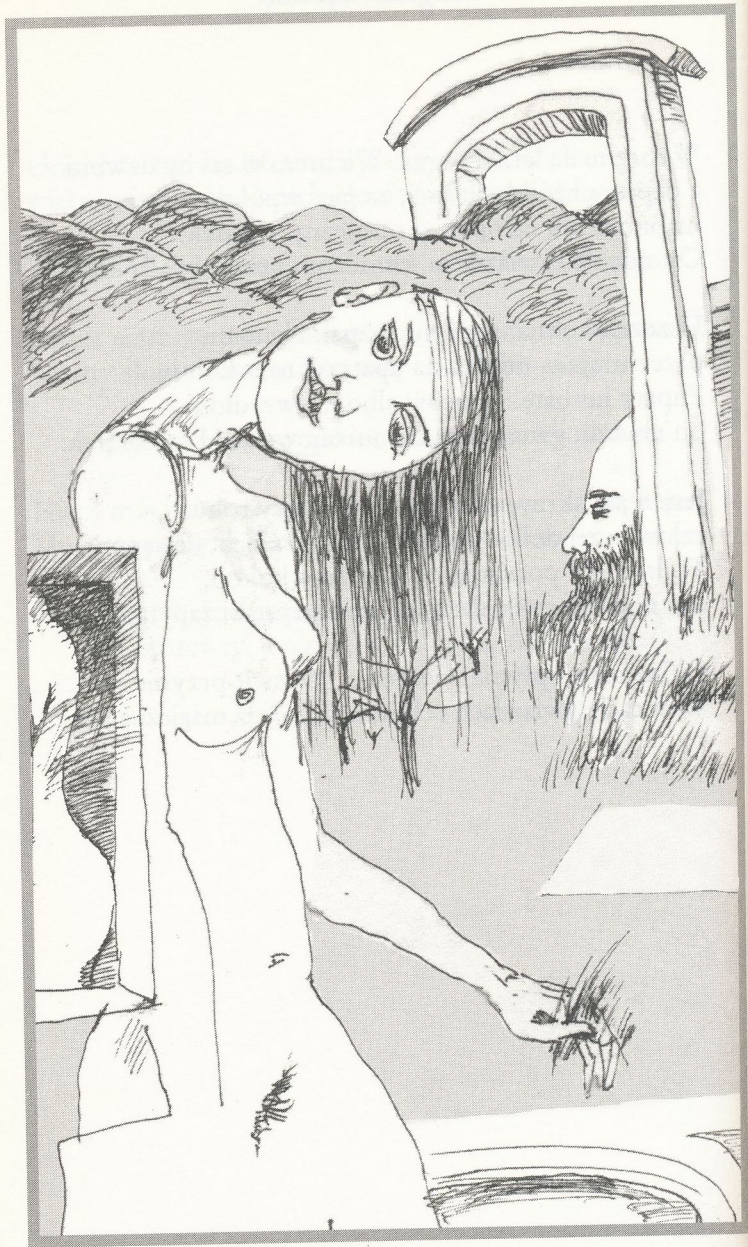
## Magiczna jesień

Wybrzmią letnia burza. Wichrem w szyby dzwoni  
z depeszą żółkłych liści, za pięć w pół do piątej  
listonosz lub listopad — magiczny wyjątek.  
On nocom, gwiazdom, chmurom przepowiada koniec.

Uszczelni okna, w piecu rozpali i kątem  
przezimuje — od dawna upatrzył nasz komin.  
Zaparz herbatę. Z fusów albo z lewej dłoni  
on nocom, gwiazdom, chmurom wywróży początek.

Jesień jak skrzypce bólu, cztery pory roku  
człowieczej doli — miłość, strach, szloch, umieranie.  
To koniec i początek, to bezczasu kokon,  
a w nocach, gwiazdach, chmurach znaki zapytania.

Jakim snem spłynie wieczór, a cóż świt przyniesie?  
W nocach, gwiazdach i chmurach znajdź magiczną jesień.



## Pojednanie

Bądź piękna, mimo deszczu. Kałuże są po to,  
byś była dla nich słońcem i początkiem tęczy.  
Bądź sobą, chociaż dziwnie włosy ci zaplotą:  
harmonią kropli deszczu na strunach pajęczych.

Pomyśl o mnie. Nadzieja — to komunia myśli.  
Śnij o tęczy, o chmurach, o jesiennych szlochach.  
Może się kiedyś niebo obojgu nam przyśni.  
Bądź piękna i bądź sobą. Ktoś i tak cię kocha.

# Ogród czasu

*Dla Paulinki*

Mała dziewczynka nie boi się burzy.  
W niej tajemnica i uśmiech błyskawic.  
Zaklina szmatkę (nią właśnie się bawi)  
wśród lalek, misiów, przed tajną podróżą

w zaświaty magii. Dziś one jej służą:  
nieme pacynki z błędnymi oczami,  
złowrogi bączek, półszlachetny kamień,  
klocki i puzzle, zwiędłe płatki róży.

Nad szmatką, w kącie, ta mała szafarka  
z uśmiechem szepcze tajemne zaklęcie.  
Taka niewinna. Spogląda przez szparkę  
na ogród czasu, który nie nadejdzie.

*Lublin, 7 sierpnia 1993*

## Wierszyk na dzień dobry

Rano, nim chmurki wstaną,  
świat buzię ma rozespaną.

Ptak nie chce śpiewać, lecz ziewa,  
a mgła przeciąga się w krzewach.

Po ścianie sunie stękanie —  
To pająk wstał na śniadanie.

Wiatr z werand kołderkę zdziera,  
dom śpiące szyby przeciera.

Reks wściekły w budzie marudzi,  
zrządzający zbudził się budzik.

Więc lenia marzeń zmyj z twarzy.  
Dziś... coś miłego się zdarzy.

## Wiersz nasenny

Gdy się wypłacze i wyśmieje  
wiosenny, najzwyczajniejszy dzień.  
Gdy ci zmęczone oczy skleci  
ten senny, fioletowy cień.

Kiedy już z lalką się pożegnasz,  
a misia pocałujesz w nos,  
wtedy to ciszy czułe ścięгна  
rozwieszą ponad głową most.

Mostem przebiega karawana:  
juczne wielbłądy szkolnych trosk.  
Karetą jedzie smutna mama,  
słysząc jej zagniewany głos.

I ptaszków wyrzuconych z gniazda  
płynię po brzegi pełny kosz.  
Westchnię zaciężna kroczy jazda:  
rozlane mleko, zbity klosz,

zgubione pióro, biedny kotek,  
czyjś drwiący, bezlitosny śmiech,  
a dwupłatowym samolotem  
nadfruwa chmury ciężki grzech.

Łzą zabrzmiał niez mówiony pacierz,  
uczynków niespełnionych sto,  
jak sto skrzywdzonych dzieci płacze,  
ktoś cierpi? — Nie wiadomo kto.

I gdy ten most od snu do jawy,  
jak czarny i kosmaty koc,  
przykryje wszystkie dzienne sprawy,  
niech z nieba spłynie srebrna moc



i niech pająki precz wypłoszy,  
do kąta myśl postawi złą,  
napelni słońcem pusty koszyk,  
rozkaże zasnąć głupim snom.

Ta moc to czułych słów różaniec,  
zaklęcie wyszeptane w dłoń,  
talizman stu mydlanych baniek,  
podkowa serc, różowy słoń.

I jeszcze jedno. Jest ktoś taki,  
kto oka dziś nie zmrużył też,  
bo na karteczkach byle jakich  
nasenny tobie pisze wiersz.

Więc gdy zmęczenie nie da zasnąć,  
powieką zetrzyj je na proch.  
Za kilka godzin będzie jasno,  
śpij, przewróć się na drugi bok.



## O przekoszmarnej Grdzie i dzielnym szewcu Pafnucym

Miła panno Renato, mnie należy się baton,  
że godzinę po lekcjach się dręcze  
pani pstrym pamiętnikiem. Nad maleńkim wierszykiem  
mamże nockę bezpłatnie prześlęczęć.

No, bo niech pani powie, czy to belfer ma zdrowie,  
żeby pannom wierszyki układać.  
Wpisałbym jakiś cytat, ale z głowy mi wypadł,  
a malować mi już nie wypada.

Znałem kiedyś o smoku bajkę — trzy razy w roku  
mi ją niania przed snem wyłuszczała —  
ale treść mi się kręci (człowiek nie ma pamięci)  
coś tam było o strzelcu i strzałach.

Smok precudnej urody żył w pałacu, a z wody  
wypęzła przebrzydła księżniczka,  
o dziewięciu ogonach, straszna, zła i zielona,  
a do tego w czerwonych trzewiczkach.

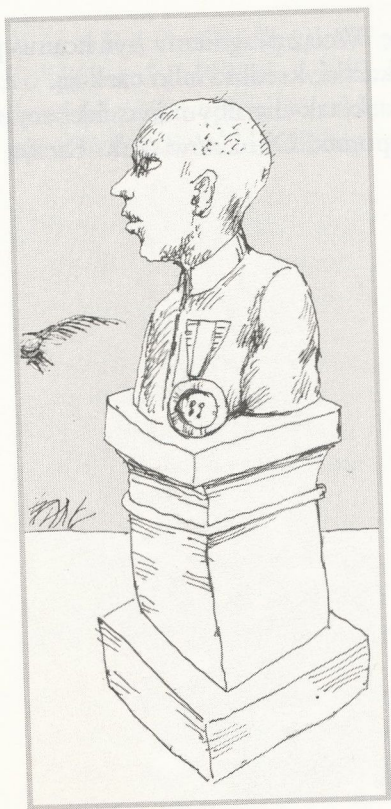
Bo to była paskuda, zołza, Grda, małpa ruda,  
co straszyla niewinne smoczątko,  
więc król oddał koronę i pół córki za żonę...  
(pokręciłem coś chyba z początku).

Na królewskie wezwanie stu rycerzy wnet stanie,  
aby walczyć. Lecz wśród tych rycerzy  
zjawił się bez onucy szewc imieniem Pafnucy,  
który Mdziungwę najchytrzej uderzył.

Wyszedł dzielnie nad fosę i grobowym-jęk-głosem  
jął potwornej Grdzie miłość wyznawać.  
Na co nasza szkarada wnet trzewiczki zakłada,  
na ogonie zaś pstry wiąże krawat.

Z wód wyłazi pomału i powiada: pocałuj  
mnie mój luby, bom piękna jak sarna.  
Nim szewc z miną przewrotną w środek nosa ją cmoknął,  
z pychy pękła ta Grda przekoszmarna.

Bajki prosty ten morał ongiś rolnik wyorał  
i w ognisko go rzucił przed chatą.  
Wtedy, chcesz czy też nie chcesz, morał wybuchł w powietrze  
B u m ! Ach wybacz mi, wybacz Renato.



## W poszukiwaniu Kicaja

*Dla Agnieszki*

Śpieszmy się. Wciąż pragniemy uczyć się przedmiotów,  
uśmiechów, kartek, kredek, lalek, książek, misiów.  
Ptaszkom potrzeba ziaren, miski mleka kotu...  
a mnie — żebyś mnie czasem nazywała: Krzysiu!

Przecież twoi rodzice tak na mnie wołają  
(a znamy się od zawsze — chyba od pieluchy).  
Puchatek i Prosiaczek, Tygrysek i Zając  
śmieją się ze mnie trochę — zowią Kłapouchym.

Śpieszmy się. Wciąż pragniemy być komuś potrzebni.  
Uśmiechy, kartki, kredki i lalki czekają.  
Ja — pierniczek, tak chciałbym być chlebem powszednim.  
Agnieszko, pomóż Oli. Znów szuka Kicaja.

7.04.1994

## Dinożarły

Dawno już nie gadałem z kimś tak mądrze o żółwiach.  
Nikt tak o lwach, gepardach nie rozprawił uczenie.  
Znam zwyczaję antylop, wiem, czym żywi się stułbia,  
dzięki tobie – ty jesteś przyrodniczy szaleniec.

Zamiast gościom wyświetlać Rambo II, Robocopa,  
włączasz zwierzęta świata. Lecz ja wiem, że wideo  
to są dla ciebie baśnie o potworach, robotach –  
Może ze względu na mnie zbudowałeś ten przełom?

Park jurajski – to czary, chociaż film o zwierzętach,  
Willow – baśń o królewnie, smokach, wiedźmach i karłach.  
Świat przyrody to także jest opowieść zaklęta.  
Wojtek leży już w łóżku. Prosi: daj dinożarła.

1.11.1994

## Bez krasnoludków

Bez krasnoludków noc — to pusty worek,  
milczący zegar, opuszczona dziupla.  
Bzdur kruchy piernik schrupany wieczorem,  
strach go na wróble z węzełka wysupłał.

Bez krasnoludków świt jest nielogiczny.  
Tak trudno senną podróż wytłumaczyć  
bezsilną walką z władcą despotycznym,  
który księżniczce marzeń nie przebaczył.

Bez krasnoludków świat to mroczna wieża,  
bezludna wyspa, dżungla, loch, pustelnia,  
to dziki ogród zarośnięty perzem,  
pragnienie, które nigdy się nie spełnia.

Kto kontakt słońca codziennie przekręca,  
rozchyła dłonie białym, wodnym liliom,  
wiatr rozdmuchuje — a czyje to ręce  
żeremi leśnych wznosiły bastylie?

Z babiego lata — wyplatają miłość,  
igliwem serca napełniają koszyk,  
bocianów wczesny ogłaszają przylot,  
mchem nasączają czyjeś ciepłe włosy.

Zielonym zmierzchem na miseczkę mleka  
zjeżdżają w ciszę po nitce pajęczej,  
niby paciorki różańca. Powie ką  
można je spłoszyć i nie przyjdą więcej.

Drżą między ludźmi cieniutkie promienie.  
Ktoś po nich czasem stąpa po cichutku —  
To, co najczulsze, dobywając z cienia,  
Trudno, ach trudno żyć bez krasnoludków.

Siądź, opowiedz mi bajkę, tylko przybliź do twarzy  
swoją twarz, bym z twych włosów gęsty las mógł wymarzyć.  
Dłonią z powiek, jak z liści, otrzyj krople wilgoci,  
ja wśród linii tej dłoni kwiat wyrzeźbię paproci.  
Zdmuchnij sen, co poduszkę nocnym krzykiem zakrwawił,  
bo w krąg zbójcy na drogach, mgła zasadzki zastawia.  
Czujnie śpij — wnet do picia wonne podasz mi zioła.  
Już nadciąga wśród deszczu czarny wilkołak  
i zza siedmiu rzek gwiazdnych strzyg zlatuje chmara,  
więc znajome zakłęcie w mig wyszeptać się staraj.  
Ratuj! Smok siedmiogłowy ku mej twarzy się skrada:  
zawiść, kłamstwo, morderstwo, pycha, chciwość i zdrada,  
i nienawiść. Ach utnij, utnij każdej z nich szyję!  
W wieży płacze księżniczka — jej królewicz nie żyje.

## Kołysanka dla wiedźmy

Z fioletowych mgieł wieczornych,  
z gorejących ciemnych liści  
sama ułóż sen upiorny,  
który nocą ma się przyśnić.

Sowa odda ci źrenice,  
płaszcz od chmury przyjmij w darze,  
abyś we śnie mogła krzyżeć,  
szakał w śmiech cię wyposaży.

Leć tam, dokąd gwiazda spadła —  
— czyjeś szczęście utracone.  
I nie wahaj się, przepadło,  
rozpacz twoim cicerone.

Noc niech wdycha trupi odór,  
wiatrem dobrze zatkaj uszy.  
Przekłuj serce soptem lodu,  
by cię cudzy płacz nie wzruszył.

Słońcu wydrzyj z piersi diament,  
niech zdychają światłożercy.  
Zamknie strach żelazne bramy,  
nikt nie zazna szczęścia więcej.

A tymczasem śpij, malutka,  
czarnych pragnień twych belfegor  
ślubną suknię tobie utkał  
z kropli krwi ukochanego.



# Milczenie

*Dla Ireny*

Znów odpływam wmodlony w mroczną twarz telefonu.  
Czczę ciszę. Zawsze brak mi cudzych bogów przed tobą.  
Śmierć mnie mało obchodzi. Nie dbam o nieskończoność.  
Sączy się krew z zegarów. Dumny jest czasu doboisz.

Dumny jest, bo zrozumiał drwiący szept boskiej ciszy.  
Słowa wiatru układał dawno zmarły poeta.  
Milczy sfinks plastikowy – Aby twój głos usłyszeć,  
wystarczy zdmuchnąć świecę i pograć się w letarg.

Jesień nigdy nie mija. Wiosna spazmem przyrody,  
a miłość to pomyłka — żart prymitywnych kwasów.  
One takt odmierzają żałobnym korowodom  
marzeń, spełnianych w męce snem płonących szałasów.

Niech wybuchnie ta chwila. Niech zstąpi anioł pański.  
Niech uśmiech skał zmurszeje. Niech zabrzmia szklane  
dzwony.

Porządkuję na tarczy zwątpień cyfry szatańskie.  
I odpływam wmodlony w mroczną twarz telefonu.

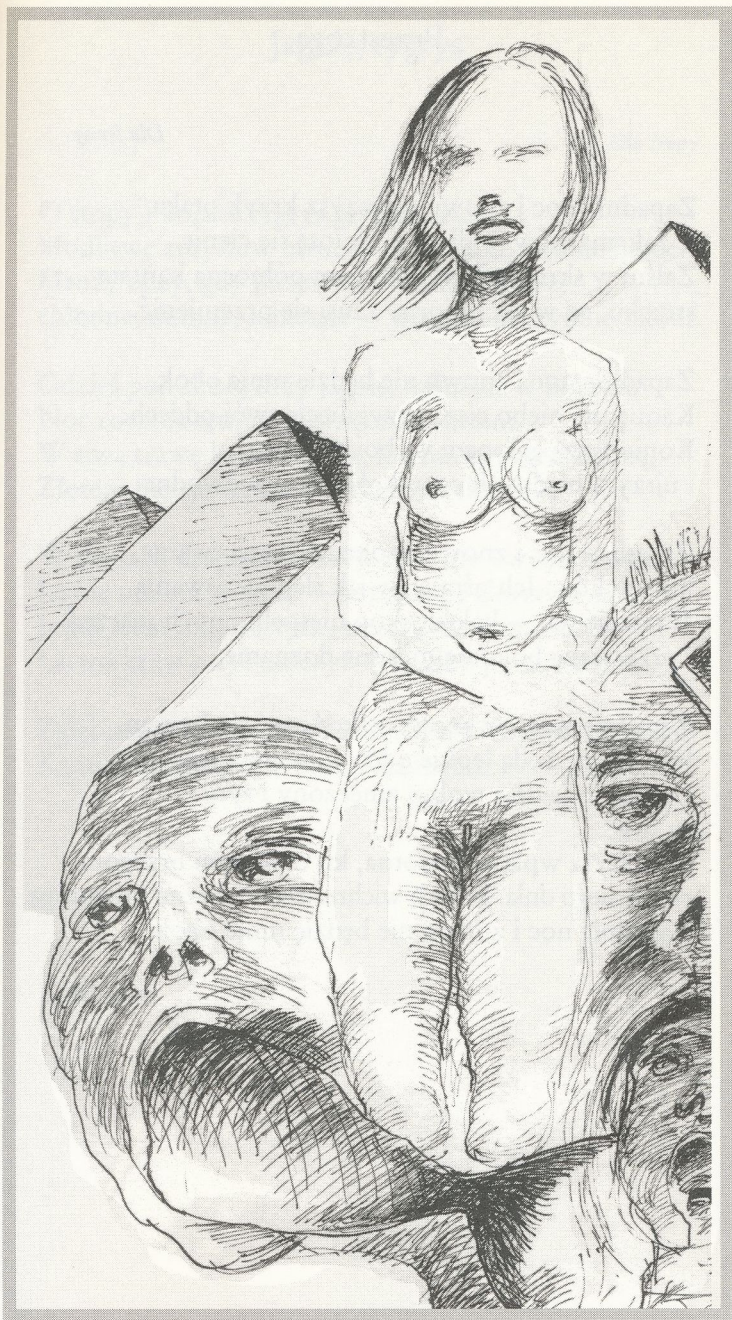
10.02.1994

## Motyw z Callridge'a

Jak dwa żaglowce mijamy się nocą.  
Bez błysku latarni, bez znaków zza burty.  
Żadne z nas z kursu ślepego nie zboczy.  
Strach nie uniesie opuszczonych kurtyn.

Wełniana ciemność, mgieł żelazna obręcz,  
sieć zarzucana bez nadziei łowu.  
Nie ma pewności, co złe, a co dobre.  
Potrzebna miłość? Nie wiadomo komu.

O świcie ptaki lecące nad wodą  
skreślą naszą nocną nieobecność.  
Brak gwiazd był pewnie wyłącznym powodem  
tego minięcia — tuż pod drogą mleczną.



# Przestroga

*Dla Ireny*

Zapadnie noc i znowu usłyszysz krzyk ptaka.  
Z zakamarków podłogi podniosą się cienie.  
Zalśni w skroniach płomieniem północna kantata  
strachu, co w jęk upiorny musi się przemienić.

Zapadnie noc i znowu nie będzie mnie obok.  
Kamienne niebo ciszą przygniecie twój oddech.  
Konie ruszą galopem wyboistą drogą  
i ujrzysz błędnych oczu królestwo podwodne.

Zapadnie noc i znowu w oknach staną twarze  
kochanków. Ich uśmiechy jak ślad biczowania.  
Wreszcie sen — kalejdoskop niespełnionych marzeń  
i przerwane boleśnie miłosne doznanie.

Zapadnie noc, by znowu zakończyć się świtem,  
lecz dłonie będą lepkie od krwi niewinnego.  
Potwór odejdzie wolno zmęczony i syty,

ty ruszysz wpływ, samotna, ku urwistym brzegom  
chmurnego dnia. Śmiech wichru niech zabrzmii przestrogą.  
Zapadnie noc i znowu nie będzie mnie obok.

24.02.1994

# Jagnię, tygrys

*Dla Ireny*

O stopy i kolana tygrys grzbiet ociera.  
Modlitwę zmysłów mruczy — pieśń ku chwale bioder.  
Mruży oczy, gdy piersi o kark mu opierasz;  
chłodne, dumne, lubieżne — wciąż bezwstydnie młode.

Gdzieś pod skórą drży jagnię, milczące w bojaźni.  
Noc rozcina tętnicę blisko czulej krtani.  
W siwą trawę krew wsiąka, łka burza przed kaźnią,  
Złotem bieleje wełna nieutkanych tkanin.

W ślepiach drapieżnik kryje ryk, kły i wnętrzości.  
Jagnię umiera w ciszy — bez skarg i złorzeczeń.  
Jesteś złem migotliwym, wrzącą niewinnością.  
Łatwo krew z żył utoczyć — trudno jej zaprzeczyć.

Zgłębiasz widzialną ciemność. Skałą rzeźbisz strumień.  
Kamień spotwarzasz pianą. Kamień łąy rozumie.

29.04.1994

## Ostatnia bajka

*Dla Ireny*

Ta bajka będzie o nas albo o bezdomnych  
pieskach, wciąż wystraszonych, skamlących na deszczu,  
albo o biednych myszkach — o tobie i o mnie.  
O snach dusznych, co trwają i powrócą jeszcze.

Ta bajka chce przerażać bądź wstrząsać i wzruszać,  
Zdmuchnąć resztę nadziei, odebrać złudzenia.  
To ogień w zgasłych oczach, cisza w niemych uszach.  
Krzyk rodzącej. Koszmarne, płodowe wspomnienie.

Ta bajka nie ma końca. To łza potłuczona,  
nabrzmiąte łkaniem gardło — skowytem bezsilne.  
To pragnienie, by zasnąć, by przepaść, by skonać,  
przedśmiertny spazm płomienia w latarni oliwnej.

Ta bajka jest bezdusznie wybrzmiałym akordem  
diabelskiej suit, zbrodnią lub czynem nieskromnym.  
Szubienicą refleksji i pejzażem morderstw.  
Ona jest snem wariata śnionym nieprzytomnie.

2.02.1994

# Noc

*Dla Ireny*

Znów sinych masek zarządzasz karnawał —  
kuzynko śmierci, siostrzo samotności.  
Trwa czujnych cieni nieustanny pościg  
za świtem, który zakończy zabawę.

Pławisz się w drzeniu, nurzasz się w obawach.  
Rzucasz się z grani strachu — z wysokości,  
którą wzniosł księżyc nad pogański kościół  
wilczego hymnu, mrocznego konklawe.

Lecz nie ma oczu piękniejszych niż twoje,  
ust bardziej słodkich, czulszej kołysanki  
niż skowyt wichru w bezdusznych pokojach,  
co dudni pustką i wybrzmiewa rankiem.

Gdy świt nadpełza — rozum zjaw nie widzi.  
Dlatego umie tylko drwić i szydzić.

31.03.1994

## Ten, którego nie ma

*Dla Ireny*

Przed północą zakładasz łątwo palną suknię.  
Upinasz włosy klamrą zbłąkanych błyskawic.  
Potem siadasz w fotelu i wyglądasz smutno  
z ustami ukrytymi w pąsowym rękawie.

Wymyślasz baśnie mroźne w podwodnych krainach —  
pełne perfidii sopli zamiast wrących kierów.  
Wszystkie kończą się śmiercią niewinnej dziewczyny  
i grzytaniem łańcuchów, i gwizdem siekiery.

Później płaczesz ze szczęścia, gdy otwierasz okna.  
Ramionami przepędzasz ptaki, wiatr i gwiazdy.  
Krzyczysz, że Bóg wie tylko, co znaczy samotność,  
a ludzie, co nienawiść, ból, żądza i zazdrość.

Nie zasypiasz nad ranem. Patrzysz w sufit nocy,  
czekając, że woskowe pomiażdży laleczki  
i stłucze szklane ryby niewyspanych oczu —  
demon piersi i brzucha, i pragnień przedwiecznych.

Nagle przychodzi słabość i jęk pojednania.  
Z świergotem rannych ptaków spływa drżący temat.  
Sen zsuwa suknię. Wsiadasz w śnieżnobiałe sanie.  
Czas nie wróci na służbę. Jego wcale nie ma.

26.04.1994



## Snęła się zima

Z motylem szukać róży w wiecznych śniegach serca,  
w oczach odlanych z brązu — prześwielonych marzeń.  
W witrażu ciepłej dłoni spokojnego miejsca,  
tajemnych zaklęć w ustach, rozpaczy na twarzy.

Z miliona płowych włosów niezawodną drogę  
wybrać, mlecznym dywanem rozścielić pod stopy.  
Przed ludźmi wytłumaczyć i pojednać z Bogiem,  
łzy w jeziora przemienić, księżyc w snach utopić.

Uwierzyć w podłe kłamstwo, w bezradność, pokorę,  
usłyszeć płacz, by chwiać się na krok przed zaśnięciem.  
Upokorzyć przed lustrem najstraszliwsze zmory,  
snuć zimę jak jedwabnik w kokonu objęciach.

Pójść wiosną na spotkanie tej, co w bladej sukni  
z uśmiechem stąpa z ganku, z wiatrem jak dym płynie,  
rozpościera ramiona, patrzy coraz smutniej  
i czeka, by uklęknąć i odpocząć przy niej.

## Osamotnienie

Zdradzony przez te oczy, które mnie stwarzają  
na swój obraz i swoich łez niepodobieństwo —  
trwam, nie myśląc o bólu, do pieśzcot nie tęskniąc,  
nawet przed lustrem strachu niczego nie tając.

Opuszczony i niemy, snuję noc jak pająk.  
Skłonny urągać w duchu fałszywym zwycięstwom,  
śmiać się z tych, co do śmierci bronią się przed klęską,  
zebrząc o czyjąś miłość lub miłość udając.

Rozeszła się publiczność, nie żądając od nas  
ani słowa, bo po co komu pusty wyraz.  
To nam potrzebna rola — choćby niewygodna:  
Yoricka, Tezeusza, Tristana lub Leara.

To my przed lustrem stojąc, w pustej garderobie,  
płaczemy nad swym losem, zazdrościmy sobie.



## Drwina blizn

*Dla Ireny*

Tylu demonów ściga nas w ciemności,  
ilu nas w czerni dostrzec nie potrafi.  
Nie mają oczu. W pokruszonych kościach  
Ognia miłości nie zastąpi grafit.

Tylu aniołów pięknych, choć upadłych  
błyska Ci w oczach srebrem gorzkiej pieśni:  
toccata, fuga, suita, blues i kadryl  
zaklętych śniegów, suszy błogich deszczów.

Tylu już zgasło, tylu wiecznie ginie,  
a ilu jeszcze zrodzi się do cierpień.  
Krew tylu ofiar ze zrudziałych rynien  
spływa w blask nowiu księżycowym sierpem.

Tyle noc warta, ile nas pieszczono —  
dłonią, językiem, potem, śluzem, piżmem.  
Ból pozostanie w nas konwalii wonią,  
Miłość drwi hymnem, lecz zostawia blizny.

*Maj 2000*

## Szczęście

*Dla Bartka na dziewiętnaste urodziny*

Ona kocha. Na miłość jej nie zasługujesz.  
Delikatnie powieki przymknięte całuje.  
Coś mruczy. Włosy czujnie odgarnia znad twarzy.  
Bezszelestnie odpływa, gdy zaczynasz marzyć.  
Nie ma jej. Zapach ciała zostawia w pościeli  
i list szminką na lustrze: „Kocham, wrócę, nie licz  
tych szarych chwil beze mnie, tych ponurych godzin.  
Wrócę. Wszak trzeba bezczas hojnie wynagrodzić  
mojej i twojej skórze. Kocham i już tesknię...”  
Lustro nie mieści wyznań. Mogłoby być większe.

Ona wie, że ty jesteś samotny, szalony,  
uciekasz z podwiniętym pod siebie ogonem.  
Bezsilny wobec świata, bezbronny i chory  
krzyczysz przez sen, gdy walczysz o świcie z potworem.  
Nie wierzysz w baśnie, jednak z jej szeptem żeglujesz  
ku łądom, które palcem na piersi rysuje  
i ku archipelagom wilgotnych wysp brzucha.  
„Czy to jest szczęście, miły? Nic nie mów. Posłuchaj:  
ta chwila trwa od zawsze jak śmierć, noc i zima.  
To jest szczęście. Musimy jakoś je wytrzymać”.

24.11.1994

## Rapsod żałobny

*Pamięci Azalii, Lizawiey, Gryzeldy Mościckiej*

Odbiegła bocznym truchtem. Obwąchała trawy.  
Nie ma już kogo głaskać, przytulać, dotykać.  
W noc odbiegła ku szczęściu. Nie skomlała nawet.  
Wiedziała, że niedługo rzucisz jej patyka.

Nikt nie mógł jej zatrzymać. Nikt, szczególnie ludzie.  
Odbiegła w noc ku szczęściu. Już nie mogła czekać.  
Może się jeszcze kiedyś w naszych nogach zbudzi?  
Może przekrzywi głowę, polize, zaszczeka...

Pytasz, czy się spotkacie. Już dziś o niej myślisz.  
Ona odeszła wczoraj, a wróci nazajutrz.  
Raj dla piesków jest chyba bardziej oczywisty.  
Przecież dla niej bez Ciebie nie może być raj.

Bała się samotności, a nie chwil odejścia.  
Noc przytula jej tropy — odbiegła ku szczęściu.

## Jednoręki bandyta

To los — ten jednoręki bandyta podważył  
nieomyślność ustaleń, logikę wydarzeń.  
Nie pierwszy raz — choć zawsze zdumiewa na nowo  
podstępny cios, zadany bez jednego słowa.  
A przecież cień złowieszczy czuje się na plecach.  
Można pozbyć się złudzeń lub mniej się podniecać  
albo pochylić głowę, żeby nie bolało,  
a potem móc się chwalić: znowu przewidziałem.  
Chociaż nie! Zawsze przecież jest dość czasu na to,  
aby mit jakiś stworzyć, udowodnić światu  
teorię bezwzględności, nielogiczność formy,  
podważyć aksjomaty ufnych i pokornych,  
wreszcie poddać się — godnie zagrać rolę Hioba.  
I bez laurów możemy się sobie spodobać.

Kłamstwo jak piasek w zębach z wściekłości zazgrzyta —  
to znowu jednoręki nadchodzi bandyta.

## Obłokom. Podzwonne

Miła moja Ireno, jesteś snów kantyleną,  
którą wiatr skomponował z przejęciem.  
Głowa pełna tęsknoty zna na pamięć jej dotyk.  
Ciało — dłoni tajemne zaklęcia.

Miła moja Ireno, noc przygląda się scenom  
z życia skrzatów milczących w rozpacz.  
Gdy świt z powiek się zwiesza, ty je umiesz pocieszać,  
że to minie, że będzie inaczej.

Miła moja Ireno, fraszki płyną ku trenom.  
Przeszłość jutra nam czyta wyroki.  
Jesteś barwnym motylem, który przysiadł na chwilę.  
Pomyśl o mnie, gdy będę obłokiem.

18/19.02.1994



Niektórzy teologowie, być może w ślad za niektórymi historykami, twierdzą, że nastąpił kres teologii. Jej miejsce ma zająć antropologia. Nie sądzę, by tak się miało stać, niemniej jest coś w takim postawieniu rzeczy. Przecież objawienie dokonuje się w — i przez — materię wydarzeń. Używając języka biblijno-teologicznego, można rzec, że w — i przez — ciało i krew. Chcąc jednak z materii odczytać objawiony przekaz, a następnie przekazać, objawić innym, trzeba ową materię wydarzeń opowiedzieć. Ale tutaj znowu popadamy w materię. Słowo jest przecież materialne, ma swoje ciało i krew. Pesymista powie więc: Nie ma dla nas ratunku, nie możemy wyrwać się z zakłętego kręgu materialności. Optymista zaś powie: Nie, ależ skąd, dzięki temuż zmaterializowaniu mamy szansę na wieczność. Szukając wyjścia z tego zapętlenia, nie musimy, nie powinniśmy porzucić, ba — zdradzać tego świata dla jakiegoś innego. Zwłaszcza tak bardzo innego, że niemającego już żadnego styczności punktu z tym, co obecnie jest szczęściem. Jaki z tego wypływa wniosek? Otóż taki, że chcąc dotrzeć do znaczenia, czyli sensu wszystkiego, co istnieje, trzeba się zgodzić na rezygnację z łatwych pociech. Krzysztof Paczuski mówi:

*Wierzymy, że czas zbawia, lecz on nas zaślepił.  
Nasz świat jest bez znaczenia. Ty wiesz to najlepiej.*

*Lecz bądź pewna, że jeszcze świeci twoja Gwiazda,  
że odnajdziesz ją kiedyś, jak zgubioną perłę,  
bo musi milczeć kurban, jeśli dźwięczy nazwa,  
i biel musi krwawić, gdy czerni się czerwień.*

Czyżby więc słowo – nazwa, dźwięcząca nazwa – miało znaczyć więcej niż sama rzeczywistość? Do pewnego stopnia tak. Czas, o którym mówimy, że „wszystko pokaże”, zaślepia przeszłość, milczy. Jedynie słowo potrafi nazwać, a więc jakoś rozróżnić pomieszane porządki rzeczy. Jednak nazwom również nie możemy wierzyć bezgranicznie. Słowo nie potrafi udźwignąć na-

zywanej rzeczywistości. Potrafi rzeczywistość „przegadać”, a słuchającego ogłuszyć. Światła naszej Gwiazdy, naszej Perły nie można więc poszukiwać jedynie tu lub tam, w naturze lub kulturze, ale wszędzie. Powszechności, wszechobecności światła tej Gwiazdy nic i nikt nie jest w stanie zagrozić. Zagrozić śmiertelnie, jeśli przez śmierć rozumiemy unicestwienie.

*Rozpacz i rozwagi płaczącym nie oszczędź.  
Niech ta śmierć znaczy tyle, ile musi znaczyć.*

*Modlitwą śmierć oddalasz. Śmierć jest połączeniem.*

*Zanim ten, kto przywołał, zechce nas odwołać,  
witamy się, by kiedyś znów móc się pożegnać.*

Bieg zdarzeń, ich następstwo wskazuje na to, że śmierć znaczy przejście od tej przemiennej zmienności do nieustannego teraz, jednoczesnego trwania odwołań i przywołań, powitań i pożegnań. Te będące w nieustannym konflikcie sytuacje staną się dla siebie uzupełnieniem. Dlatego dzisiaj o sobie możemy jedynie powiedzieć:

*To fałsz, że kimś jesteśmy i dokądś zmierzamy.  
To nieprawda, że chcemy usłyszeć odpowiedź.*

Człowiek nie jest więc „organizmem przejściowym”, który dopiero gdy się rozwinie, wydorosłeje, w bardziej lub mniej odległej przyszłości, będzie kimś. Dopiero gdy dojdziemy do celu, tego dostępnego na tej ziemi czy też tego w niebie, będziemy mogli rzec, że jesteśmy, że żyjemy. Nie, to, że dzisiaj istniejemy, jest najlepszym dowodem na to, że jesteśmy, że każdy z nas jest. A ponieważ wiersze z tego tomu, cały ten tom jest zanurzony w *Biblii*, a ich patronką jest kobieta i *Pieśń nad pieśniami*, można powiedzieć, iż słowo — jest — to nie tylko czasownik, lecz przede wszystkim imię, imię własne. Dlatego odpowiedź, jakiej udziela nam rzeczywistość, nie jest łatwa nie tylko do usłyszenia. Przede wszystkim jest ona trudna do przyjęcia. Okazuje się bowiem, że istniejemy zawsze za cenę istnienia kogoś innego i że ta cena sprawia, iż

wciąż jesteśmy dłużnikami wszystkich i wszystkiego. Wolelibyśmy nawet na siebie wziąć ciężar tej ceny, niż patrzeć, jak się z nim zмага nasz wybawiciel. Nasze istnienie jest obciążone winą.

*Czemuż ty, a nie ja, Absalomie, Absalomie...*

Czasami bywa jeszcze straszniej, jeszcze boleśniej. Przychodzi bowiem moment uświadomienia sobie, że jesteśmy nie tylko dłużnikami, ale i marnotrawcami. Nie dość, że z trudem przychodzi nam uchwycić znaczenie dziejącej się rzeczywistości, to jeszcze sami, mniej lub bardziej świadomie i dobrowolnie, odstępujemy i występujemy przeciwko poznanemu sensowi. Myślimy i działamy bez sensu.

*Oto jest moja głowa. Oto głowa zdrajcy.*

Ale chwila zdrady, raczej ta poranna chwila, kiedy pieją koguty, kiedy pozostaje nam w ręku połamany ster, ta chwila staje się czasem naszego nawiedzenia. Uświadomienie sobie bezsensu naszych motywów, działań, zaniedbań, wyrzeczeń pozwala odkryć, że jest coś, ktoś poza nami. Jesteśmy ugruntowani na mocnym fundamencie.

*Mój okręt nie ma sterów, chociaż ma kotwicę.*

Patrząc zatem w głąb płątaniny wydarzeń, płynąc wstecz minionego, dochodzimy do przekonania, że ta cała nasza szarpanina ze szczęściem i nieszczęściem, zwana życiem, wbrew potwierdzonemu po wielekroć doświadczeniu, nie jest chaotyczną bieganiną, pełną lęku, ale posiada pewnego rodzaju umocowanie, kotwicę. Stąd poeta ma prawo domagać się od współczesnych uważnego towarzyszenia, ostrzegania, upominania. I tak Paczuski domaga się prawa człowieka do uczestniczenia w kulturze. Ona bowiem posiada zdolność problematyzowania, zdolność demitologizowania wciąż pomnażanych bożków.

*Dlaczego nikt mnie nigdy nie zatrzymał siłą?!*

Oczywiście, ten proces postępuje też w drugą stronę – kiedy natura koryguje kulturę, nie pozwalając jej na oderwanie się od życia.

*Podniecona Leibnizem, podciągnęłaś spódnicę  
i urwała się nasza dysputa.*

*Moja miła Ireno, fraszki płyną ku trenom.  
Przeszłość jutra nam czyta wyroki.  
Jesteś barwnym motylem, który przysiadł na chwilę.  
Pomyśl o mnie, gdy będę obłokiem.*

*Trudno, ach trudno żyć bez krasnoludków.*

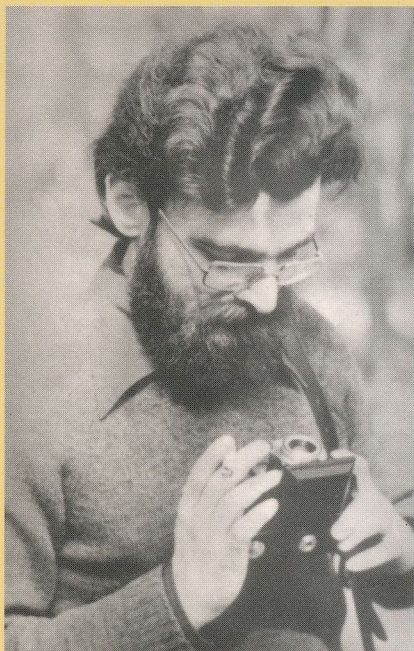
„Tak bym pragnął uwierzyć...”, mówi poeta. Ale tak może się zwierzać jedynie ten, kto już przekroczył próg niewymownego. Krzysztof Paczuski mówi przecież: „Jakże łatwo przyczynę pomylić ze skutkiem”. I o to właśnie chodzi: „To jest szczęście. Musimy jakoś je wytrzymać”.

*Wacław Oszajca*

## Spis treści

Mykenom. Podzwonne .....	7
Małgorzata (fragmenty) .....	8
Do Horacego, prośba o epitafium dla przyjaciela .....	15
Sunamitka Abiszag .....	16
Burza .....	17
Zaduszne złożeczenia .....	18
Tajemnica uśmiechu .....	19
Metamorfozy. Sen Bożeny .....	20
Zatrzymać raj .....	21
Dumanie powrotne (elegia) .....	22
Dumanie definitywne .....	23
* * * ( <i>Oto jest moja głowa. Oto głowa zdrajcy...</i> ) .....	24
Dysputa .....	26
Dziewczynka .....	28
Argonauci jesieni .....	29
Dwie szarości. Samotność .....	30
* * * ( <i>Świecę hardą zatapiam w miękkim ciągle wosku</i> ) .....	32
List wysłany z La Manchy .....	33
Barataria .....	34
Matce .....	35
Kana Galilejska .....	36
Przedzieranie się do leśniczówki .....	37
W leśniczówce. Oblężenie .....	38
Na wschód od leśniczówki .....	39
Z Villona .....	40
Naręcze piasku .....	41
Trzeci korytarz .....	42
Mane Tekel Fares .....	43
Jahve, Jahve .....	44
Magiczna jesień .....	45
Pojednanie .....	47
Ogród czasu .....	48

Wierszyk na dzień dobry .....	49
Wiersz nasenny .....	50
O przekoszmarnej Grdzie i dzielnym szewcu Pafnucym ...	52
W poszukiwaniu Kicaja .....	54
Dinozaury .....	55
Bez krasnoludków .....	56
Na dobranoc .....	57
Kołysanka dla wiedźmy .....	58
Milczenie .....	59
Motyw z Callridge'a .....	60
Przestroga .....	62
Jagnię, tygrys .....	63
Ostatnia bajka .....	64
Noc .....	65
Ten, którego nie ma .....	66
Snuła się zima .....	67
Osamotnienie .....	68
Drwina blizn .....	70
Szczęście .....	71
Rapsod żałobny .....	72
Jednoręki bandyta .....	73
Obłokom. Podzwonne .....	74
<i>Paczuskiego antropologia (Wacław Oszajca) .....</i>	<i>75</i>



KRZYSZTOF PACZUSKI, urodził się w 1956 roku w Lublinie. Ukończył polonistykę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Współredagował podziemne czasopismo młodych katolików „Spotkania”. Był nauczycielem, potem współredaktorem „Akcentu”. Debiutował w „Nowym Wyrazie” w 1974 roku. Publikował w „Życiu Literackim”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Kamienie”, „Twórczości”, „Akencie” i „Kresach” oraz w antologii *Przebudzenie* (1976).

Wydał zbiory wierszy: *Polonez z różą w gardle* (1978), *44 sonety* (1980), *Narodziny światła* (1992), *Ballada o duchu Euzebiusza (poemat dla młodzieży)* (1994).

Od kilku lat mieszka w Warszawie. Pomimo ciężkiej choroby nadal tworzy.

ISBN 83-902806-7-1

*biblioteka „akcentu”, tom 7*